

## Przed pół wiekiem

Właśnie zakończył się ostatni rok starego systemu szkolnego i dokonuje się reforma. Nie sposób wspomnieć o tych wszystkich reformach, które miały miejsce za mego życia. Nie sposób również dlatego, że nawet policzyć, ile ich było, jest trudno.

Ale tak się składa, że jedna z nich obchodzi dziś „złotą” rocznicę. A w tej reformie sprzed pół wieku wziąłem nie tylko aktywny, ale i emocjonalny udział.

Technicznie reforma polegała jedynie na przedłużeniu szkoły podstawowej z siedmiu do ośmiu lat. To nie była wielka zmiana. Ale przecież poprawa funkcjonowania żadnego przedsięwzięcia nie może polegać na – mówiąc eufemicznie – przestawianiu biurka czy zmianie godzin pracy. Uważano, że rok więcej wymaganego ustawowo obowiązku szkolnego to rzecz dobra. Istota reformy polegała jednak przede wszystkim na zmianie programu nauczania (dziś przemianowanego na bardziej demokratycznie brzmiące podstawy).

Nie umiem (bo nie pamiętam) stwierdzić, co zmieniało się w innych dyscyplinach niż matematyka (a może tam zmian nie było?). Za to świetnie pamiętam, że w matematyce zmiany były fundamentalne.

Pierwsza z nich to pojawienie się – i to od pierwszej klasy szkoły podstawowej – zbiorów. Uzasadnienie tego kroku składało się z niewątpliwego faktu obecności zbiorów we współczesnej matematyce i z wątpliwego argumentu antropologicznego (przypisywanego Piagetowi), że ludzkość rachunek zbiorów ma wdrukowany od czasów pradawnych, na co dowodem ma być odmienność liczebników głównych i liczebników porządkowych: *jeden, dwa i pierwszy, drugi* (*one, two i first, second* itd.). Wstrząs był wielki i wymagał znacznego doksztalcenia uczących już począwszy od nauczania początkowego.

Kolejna fundamentalna zmiana dotyczyła geometrii na poziomie ponadpodstawowym. Tutaj nowoczesność polegała na wniesieniu do szkół idei bourbakistowskich, czyli oparcia geometrii nie na tradycyjnych cechach przystawiania, lecz na przekształceniach. Tego to już naprawdę nikt z nauczycieli nie znał. Na dodatek podręczniki geometrii, które przygotowano dla szkół, były – najdelikatniej mówiąc – fatalne, co brało się z nieuzasadnionego przekonania autorów, iż w języku przekształceń uda się zaksjomatyzować geometrię w sposób logicznie poprawny, a dla ucznia dostępny (w efekcie żaden z tych walorów nie był obecny).

Było i całkiem nowe – w szkołach pojawił się rachunek prawdopodobieństwa. Opanowanie tego, jakże odrębnego sposobu myślenia, było największą trudnością dla nauczycieli.

I tu (po tej krytyce) należy wskazać niewątpliwą pozytywną cechę ówczesnej reformy. Za najważniejsze uznano kształcenie do niej nauczycieli. Było ono powszechne, dobrze zorganizowane i wliczane nauczycielom w pensum. Dla mojego pokolenia matematyków (parę lat po studiach) była to – niesłychanie korzystna tak materialnie, jak i dydaktycznie – okazja do prowadzenia tych szkoleń. Tu i ówdzie byliśmy czasem traktowani jak hunwejbini (proszę w Wikipedii wyszukać, co to znaczy), ale rozpierała nas duma, że umiemy to, co jest takie nowe i wspaniałe, a nawet potrafimy to przekazać.

Przy tym wszystkim powracając do szkół pochodne, a nawet całki, to już była bułka z masłem.

Oczywiście, jak w każdej rewolucji, z czasem nastąpił pewien odwrót, ale dziś większość nauczycieli uczy jednak innej matematyki niż ta, którą ja poznałem w szkole.

Przyglądając się obecnej reformie, dostrzegam przede wszystkim ogromne zmiany administracyjne, z całą pewnością przeważające nad zmianami programowymi, zwłaszcza w matematyce. A zmiany programowe nie wydają mi się być (nie tylko przesadnie, jak przed półwiekiem, ale w żadnym stopniu) próbą przesunięcia szkoły w kierunku, w jakim zmierza nauka.